

Tygodnik KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH



Rok V

Gorzów Wlkp., dnia 17 — 24 grudnia 1950 r.

Nr 40

Pogłębić życie duchowe

Pogłębianie życia duchowego — oto temat szeroko zazwyczaj omawiany w literaturze katolickiej. Streszczanie sądów, poglądów, żądań i zaleceń wielu katolickich myślicieli przekraczałoby szczupłe ramy niniejszego artykułu. Z konieczności więc ograniczymy się do omówienia małego wycinka tematu, co bynajmniej nie pozbawi naszych stwierdzeń i wniosków wyrażanych cech ogólnikowości. Jest ona niemal że nieunikniona w warunkach sumiennej obawy o nieprzekroczenie granic objętościowych publicystycznego artykułu. Myśl wyrażona w tytule jest prostym i naturalnym skutkiem wyznawania przez nas światopoglądu katolickiego i przynależności do Kościoła. Nie negując wartości ściśle materialnych (pogląd, że katolicyzm jest wrogiem życia doczesnego dawno już upadł z powodu absolutnego braku rzeczowo-objektywnych argumentów) główną uwagę koncentruje katolicyzm na płaszczyźnie życia duchowego poszczególnych jednostek i całej ludzkości, wychodząc z założenia przemijalności dóbr doczesnych oraz nieśmiertelności duszy.

Nieśmiertelność duszy — oto jedno z kardynalnych założeń katolicyzmu i każdej religii. Nic dziwnego, że taką troską otacza on życie duchowe, że pragnie, aby jego rozwój dokonywał się w właściwych ramach, wytyczonych ściśle chorągiewkami niewzruszonych i wiecznie aktualnych norm etycznych.

Samo czuwanie jednak nad prawidłowym rozwojem życia duchowego nie jest pełną definicją najistotniejszej treści katolicyzmu. Wypływają zeń pod adresem człowieka nakazy, postulatory i dyrektywy działania, bez których trudno by się było obejść. Weźmy chociażby z ewangelii moment, w którym Chrystus nakazuje Swoim Uczniom modlić się do Ojca niebieskiego.

Katolicyzm wyznawany jest nie tylko stróżem, policjantem naszego życia duchowego, nie tylko zakazuje, czego nam czynić nie wolno, lecz przede wszystkim doradza, zaleca, co czynić powinniśmy w sferze ducha i w sferze stosunków z innymi ludźmi. Jeśli Chrystus mówi „módl się” to wzbudza w nas powinność działania pozytywnego, którego skutkiem będzie uszlachetnienie duszy i ściślejsze związanie jej z Bogiem. Podobnie ma się sprawa z nakazem miłości bliźniego. Wniosek z tego, że prawdziwy katolik nie może być w żadnym wypadku

wyznawcą zasady „nie czynię nic złego, więc jestem dobry”. Postawa wobec rzeczywistości oparta na niej nie ma nic wspól-

nego z postawą katolicką, bowiem nieczynienie złego nie oznacza czynienia dobrego. Kto nie czyni zła, ani dobra, dostarcza nam



Mal. P. Stachewicz

Po ciernistej drodze

wiele przykładów na to, że stanie w miejscu niewiele się różni od cofania. Powyższe zdanie nie jest paradoksem, chociaż nań zwraca. Wiadomo np. że sportowiec, który ma kilka lat wycofa się z czynnego życia sportowego, w swym rozwoju fizycznym nie postąpi ani kroku naprzód, natomiast cofnie się wyraźnie w tył. Jego mięśnie zwiotczą. Podobnie sprawa przedstawia się na rozległym polu problematyki ducha. Stąd postulat pozytywnego działania, konkretniej — postulat pogłębiania życia duchowego.

Różnie bywał on pojmowany przez chrześcijan w ciągu wieków. Posty, biczowania, pustelnicтво — to były środki mające na celu oderwać uwagę człowieka od rzeczy doczesnych a skierować ją ku Bogu i stworzonej na Jego podobieństwo duszy ludzkiej. Dziś na problem środków patrzymy pod innym kątem widzenia. Np. postulat pustelnicтва czy biczowania się byłby nie-realny ze względu na olbrzymi wzrost wagi społecznej jednostek, na jej udział w życiu, powiązanym tysiącami węzłami organizmie społecznym. Są inne środki pogłębiania życia duchowego, które nie będąc dla człowieka przeszkodą w wypełnianiu przezeń obowiązków rodzinnych, społecznych czy zawodowych, spełniają zarazem doskonale swe zadanie. Do takich środków zaliczyć należy przede wszystkim modlitwę i rozmyślanie o rzeczach ostatecznych, dalek lekturę dzieł o głębokiej treści religijnej, wreszcie stałe dążenie do uświęcenia się, przez co rozumieć należy systematyczne i wytrwałe kształtowanie cnót takich, jak cierpliwość, wyrozumiałość na ludzkie wady itp.

Tyle już pisano na tych łamach o potrzebie modlitwy, pobożnych rozmyślań i tym podobnych sprawach, że powracanie do tego tematu staje się poprostu aż żenujące. A jednak trzeba go jeszcze raz pod-

kreślić w naszych rozważaniach, mimo obaw o zarzut płytkiego, nieprzemyślanego moralizatorstwa. Bowiem umocnić, pogłębić, odświeżyć życie duchowe w nas samych można tylko przy pomocy tych środków, o których mówiliśmy wyżej. I zdaje się, że każdy rozumny katolik przyzna nam rację.

Prawdziwa modlitwa i rozmyślanie, rozważanie swego stosunku do Boga i ludzi, przeanalizowanie przyczyny i skutku popełnianych błędów, to spojrzenie na dotychczasowe życie z odważnym krytycyzmem, to wreszcie zrobienie bilansu moralnych zysków i strat, wyciągnięcie z tych przemysłów wniosków na przyszłość. Konieczność chwilowego zatrzymania się w pochodzie życiowym celem rozpatrzenia swych duchowych spraw powinna wrócić w świadomość każdego katolika w stopniu równie silnym, co konieczność brania czynnego udziału w cotygodniowej Mszy św.

Formułując nakaz pogłębiania życia duchowego rozumiemy go dwójako: nie tylko w sensie ściśle religijnym, o czym mówiliśmy wyżej, lecz również w sensie społecznego uświadomienia sobie swej roli jako jednostki wtopionej na długi okres życia doczesnego w określony historycznie układ stosunków społecznych. Jest to konieczne wobec faktu, że wielu katolików pragnie realizować ideał wewnętrznej doskonałości w oderwaniu od rzeczywistego życia, w ścisłej izolacji od współbłędnych. Że taka postawa wobec społecznej rzeczywistości musi zbankrutować, nie trzeba dowodzić. Znajdujemy się obecnie na tak wysokim szczeblu rozwojowym życia zbiorowego, że zbawienie naszej duszy przestało być wyłącznie kwestią indywidualną, a nabrało — rzecz by można — pewnego aspektu społecznego, inaczej mówiąc: uwarunkowane jest nie tylko osobistą, prywatną pobożnością jednostki, lecz także jej stosunkiem do in-

nych jednostek składających się na grupy, społeczeństwo, państwo. Trzeba sobie to jasno uświadomić, aby wyeliminować z psychiki skłonność do traktowania innego człowieka z pogardliwą wyższością lub skłonność do — nazwijmy to delikatnie — bezprawnego zawłaszczania dóbr społecznych, przy równoczesnym sumiennym praktykowaniu wyznawanej religii.

Uświadomienie sobie swej roli społecznej i swych zadań dopomoże w przezwyciężeniu antyspołecznych nawyków i w ułożeniu swego stosunku do bliźnich na właściwej płaszczyźnie miłości i braterstwa. Katolicyzm jest religią społeczną i o tym jego społecznym charakterze nie należy zapominać. Wszak elementarnym założeniem personalizmu katolickiego w odniesieniu do posiadania dóbr doczesnych jest zasada: „to jest moje — dla wszystkich”. Aczkolwiek poważną troską katolika jest zbawienie własnej duszy, to jednak nie powinien on przymykać oczu na doczesne i pozadoczesne potrzeby każdego człowieka, lecz dążyć konsekwentnie do tego, aby wszystkim ułatwić drogę do zbawienia z jednej strony, z drugiej natomiast — pomóc w przełamywaniu ziemskich trosk życiowych. Postawie egoistycznej, oderwanej od rzeczywistości, antyspołecznej i niegodnej prawdziwego katolika trzeba wydać bezwzględna walkę.

Jeszcze raz podkreślamy ogólnikowość naszych rozważań. Ograniczyliśmy się do postawienia nakazu pogłębiania życia duchowego w nadziei, że wybór środków jego urzeczywistniania dokonany zostanie osobie przez każdego katolika w zależności od indywidualnych potrzeb, poglądów i stopnia religijnej samowiedzy. Środki omówione przez nas mogą posłużyć jako wskazówki konkretnego działania.

Tadeusz Haluch.

„A tak musimy współpracować“

Jezus sam powiedział, że bez niego, bez pomocy jego łaski nie możemy nic zrobić. Z ust zaś św. Pawła wiemy: „Bóg chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni“ (1. Tym. 2, 4). „Ale ty masz miłość nad wszystkimi... Miłujesz bowiem wszystko, co jest, i nic nie masz w nienawiści z tego, coś uczynił... Ty przepuszczasz wszystkim, gdyż tywiś się, Panie, który dusze miłujesz“ (Madr. 11, 24-27). Dlatego daje Bóg każdemu człowiekowi tyle łaski, aby mógł się zbawić. Syn Boży przyszedł na świat jako „światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“ (Jan 1, 9). „Albowiem okazała się łaska Boga Zbawiciela — naszego wszystkim ludziom“ (Tyt. 2, 11).

Wszystkim ludziom daje Bóg swoją łaskę, nie wszystkim jednakowo wielką, lecz wedle swego wyboru jednemu pięć talarów, innemu dwa, innemu jeden. Ale każdemu daje wystarczającą łaskę, aby mógł osiągnąć zbawienie. Tylko nie wszyscy ludzie z nią współpracują. Przykładem niech tu będzie Iotr po prawej i Iotr po lewej. Jeden łaskę boską przyjął, drugi ją odrzucił.

Dlatego św. Paweł, który sam tak wierząc idąc za łaską Bożą z błędnej drogi wszedł na drogę zbawienia, napomina z świętą powagą: „Napominamy, abyście nadaremno łaski Bożej nie przyjęli“ (2. Kor. 6, 1). To odnosi się do wszystkich i zawsze,

zawsze jest Zbawiciel blisko nas ze swoją łaską; stoi u drzwi naszego serca i puka i nasłuchuje, czy słyszymy jego głos i czy jego wezwanie rozumiemy (Obj. 3, 20). Nie zawsze wkracza w drogę zbłąkanego, jak Szawłowi przed Damazkiem, w majestacie swego Przemienienia; niejednemu napomina jak upadłego Piotra bolesnym spojrzeniem swych oczu Cierpiącego Baranka. Nie za każdym razem przemawia do ludzi wśród grzmotów i błyskawic jak na górze Synaj; niekiedy można jego głos słyszeć, gdy przechodzi w łagodnym szumie wiatru. Nie każdego powołuje błyskawicą od życia światowego do pobożności jak Norberta; w jednej duszy stara się przez łagodnie dogasającą zorzę wieczorną, przez mały zachód słońca w samotny dzień obudzić tęsknotę za niebem, tęsknotę za świętością i dzieciństwem Bożym. Gdy twój młody kolega niedawno jeszcze w jednym dniu pełnił swą służbę jak zawsze, a w następnym dniu o tej samej godzinie leżał już martwy na marach, wtedy palec łaski Zbawiciela pukał do drzwi twego serca; czy zrozumiałeś go i otwarłeś mu drzwi twego serca? Gdy niedawno wprost cudownie wyszedłeś z niebezpieczeństwa śmierci i dopiero potem dowiedziałeś się, że już sekunde stałeś w bezpośrednim zetknięciu się ze śmiercią, wtedy Jezus pukał do ciebie i napominał: Bądź gotów! Kiedyś, kiedy o czym innym będziesz może myślał, kosa śmierci zgasi twój żywot! — Teraz, gdy słowa te

czytasz, stoi Zbawiciel przy tobie i puka do drzwi twego serca i kochającym spojrzeniem patrzy ci w oczy. Może już często pukał, a tyś delikatnego pukania nie rozumiał, nie chciał zrozumieć; może już nieraz na ciebie patrzył, a tyś na jego spojrzenie odpowiedział jak na spojrzenie kogoś obcego — ale dzisiaj, gdy głos jego słyszysz, nie zatwardzaj swego serca; przecież nie jest ci miło, gdy wiesz: Nazewnątrza stoi ktoś, i woła mnie, a to jest mój najlepszy przyjaciel i on nie chce ode mnie, chce mnie tylko widzieć. Dzisiaj gdy słyszysz jego łagodne pukanie, nie zamykaj dłużej drzwi twego serca, roztwórz je szeroko, ażeby Jezus nie potrzebował mijać cię, jak kiedyś, gdy w Betleem do drzwi pukał i szukał schronienia; roztwórz mu je szeroko, aby mógł wstąpić do ciebie i w świętą mieć ucztę z tobą, a ty z nim. Dzisiaj, gdy kochający wzrok Zbawiciela szuka twych oczu, nie unikaj go, lecz ciesz się miłością, która z oczu twego Boga, twego Brata, twego Przyjaciela promieniuje ku tobie. I jeżeli to odczuwasz, to nie możesz beztrósko w oczy patrzeć, ponieważ masz na sobie przewinę grzechową, dlatego załóż i wyznaj twą przewinę w sakramencie pokuty, a wtedy zdejmie on ją z ciebie; on szuka cię, by cię zbawić... Wszystko będzie dobrze, jeżeli dozwolisz się Zbawicielowi narodzić w twoim sercu.

WL. N.

Ostatnie wezwanie do pokuty adwentowej

Adwent dobiega końca. W Ewangelii św. Poprzednik Pana Jezusa, św. Jan Chrzciciel, zwraca się do nas z wezwaniem: „Prostujcie drogę Pańską”. Św. Łukasz wyjaśnia to szerzej, mówiąc: „Wszelka dolina będzie napelniona, a wszelka góra i pagórek będzie ponizony, i krzywe miejsca będą proste, a ostre drogami gładkimi. Bez przemiany wewnętrznej, bez pokuty nie ma radosnych świąt Bożego Narodzenia. Nie ma przemiany i nawrócenia bez zastanowienia się nad sobą.

Adwent dobiega końca. Do niebios wzbija się, coraz bardziej natarczywie wołanie „Spuszcźcie nam na ziemskie niwy Zbawcę z niebios, obłoki.” Mogło by się wydawać, że tylko od Boga zależy wysłuchanie, ale jest inaczej. Pan Bóg gotów jest przyjść i wysłuchać człowieka. Człowiek jednak stawia Bogu najrozmaitsze przeszkody. Bóg przychodzi do swojej własności, a swoi Go nie przyjmują. Stąd też wołanie św. Jana Chrzciciela z nad brzegów Jordanu o pokutę, o całkowitą wewnętrzną przemianę. Przy budowie dróg robi się nasypy na dolinach, a wykopy w górach i pagórkach.

Aby Bóg mógł przyjść do naszych serc, by się tam narodził na nowo przez łaskę, musi nastąpić dogłębna przemiana: to, co zaniedbane, musi wyjść na wierzch, wszystko ma być uporządkowane według myśli Bożej. W przeciwnym bowiem razie grzechy nasze powstrzymają nadejście zmiłowania Pańskiego.

Nie jeden, słysząc nawoływanie do całkowitej przemiany i pokuty, pomyślił sobie: „To nie odnosi się do mnie, jeszcze tak daleko nie upadłem, aby trzeba było zwracać z drogi i całkowitą przeprowadzić zmianę. Do wielu takich ludzi można by zastosować słowa Objawienia św. Jana: „Mówisz: Zem jest bogaty i wzbogacony, a niczego nie potrzebuję, a nie wiesz, żeś ty jest nędzny i mizerny i ubogi i ślepy i nagi”. W grzechach bowiem ciężkich trwają niekiedy lata całe, a u krótko konfesyjonału klęczeli ostatni raz kto wie kiedy. Czyż nie odnosi się do nich wołanie: „Pokutę czynicie, przemienicie się całkowicie!”

Ale i serca Bogu oddane potrzebują pokuty. Ta pokuta ma polegać na zrozumieniu tego, że wiele rzeczy trzeba w nas wzruszyć, wyrwać oraz na poważnym wysiłku, by rzeczywiście usunąć to, co usunąć trzeba.

Wiele bowiem jest w duszach ludzkich samolubstwa, chytrości, chciwości, wygodnictwa, a nawet brutalności. Nieraz są nie tylko pagórki ale i góry ogromne wad.

Często pytamy: W czym zawiniłem? Jak wielka jest moja wina?, a rzadko zastanawiamy się, czego nam jeszcze brak, jak daleko jeszcze jesteśmy oddaleni od ideału doskonałego ucznia Chrystusowego? Kto stał na ustach pytanie: Jak daleko mogę się jeszcze posunąć, by nie popełnić grzechu ciężkiego? — ten dawno już porzucił fundament moralności chrześcijańskiej.

Każdy z nas, jeżeli tylko nie jest zaślepiiony, a ma oczy otwarte na własne wady, to wie najlepiej, jak ma czynić pokutę, co w sobie zmienić, czego się pozbyć.

I o tyle posuniemy się naprzód, o ile się

pozbedzimy tych wad, o ile sobie zadamy gwałt. Pozbycie się balastu wad to nasza pokuta adwentowa, to nasza przemiana, to nasza odpowiedź na apel Janowy z nad

brzegów rzeki Jordanu, to przyspieszenie dnia zmiłowania Pańskiego, dnia przyjścia Pańskiego i wybawienia.

Ks. Musiel Fr.

NA TRZECIĄ NIEDZIELĘ ADWENTU EWANGELIA ŚW. JANA (1, 19 — 28).



W on czas:

Judejczycy z Jerozolimy wysłali do Jana kapłanów i lewitów z zapytaniem: „Ktoś ty jest?” A on wyznał i nie zaprzeczył, ale wyznał: „Ja nie jestem Chrystusem”. Zapytali go tedy: „Cóż więc? czy jesteś Eliaszem?” — I odrzekł:

„Nie Jestem”. — „Czy nie jesteś prorokiem?” — I odpowiedział: „Nie”. Rzekł mu więc: „Kimże jesteś?” — byśmy odpowiedź dać mogli tym, którzy nas wysłali; — co mówisz sam o sobie? „Jam głos” — odrzekł — co woła na pustkowiu: „Drogę prostujcie Panu”, jako mówił Izajasz prorok (40, 3).” A wysłańcy należeli do grona faryzeuszów. Toteż postawili mu pytanie i rzekli doń: „Dlaczego więc chrzczysz, jeśli nie jesteś ani Chrystusem, ani Eliaszem, ani prorokiem?” Odpowiedział im Jan mówiąc: „Ja chrzczę wodą; ale wśród was stanął Ten, którego wy nie znacie; Tenci jest, który przyjdzie po mnie, który istniał przede mną, a jestem niegodzien rozwiązać rzemienia u sandałów Jego”. To działo się w Betanii, za Jordanem, gdzie Jan chrztu udzielał.

NA CZWARTĄ NIEDZIELĘ ADWENTU EWANGELIA ŚW. ŁUKASZA (3, 1 — 6)

W piątym roku rządów Tyberiusza cesarza, — gdy Poncjusz Pilat zarządzał Judeą, a Herod był tetrarchą Galilei, Filip zaś, brat jego, tetrarchą Iturei i okregu Trachonitis, gdy Lizaniasz, jako tetrarcha, rządził Abilena, a Annasz i Kaifasz byli arcykapłanami, — odczytał się głos Pański nad Janem, synem Zachariasza, na pustkowiu. I przeszedł całą okolicę nadjordańską, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jak napisano w księdze przepowiedni Izajasza proroka (40, 2 — 5):

„Głos się rozlega na pustkowiu: Drogę gotujcie dla Pana, Jemu prostujcie ścieżyny. Niech wszelki parów zapelniają, sporyt każdy zniża i wzgórze, niech drogi krzywe sprostują, i chropowate wyglądają... A wtedy człowiek wszelaki zbawienie Boże obaczy.”

„Rorate coeli...”

Wioska spała otulona ciemnym welonem nocy. Na niebie gwiazdy już pogasty; została tylko jedna jedyna Jutrzenka, która świeciła jasno na tle ciemnego nieba. Koguty dawno już piał, a wieś jeszcze spała mocnym, znużonym po pracy snem. Od czasu do czasu słychać było pojedyncze szczekanie psów i potem znów martwa cisza... Nagle po twardej zmarzniętej ziemi zadudniły głucho czyjeś podkute buty i zerwał się zaraz jazgot psów. Po chwili dało się słyszeć głośnie przeklinanie w twardej, obcej mowie. Z mroku nocy wynurzyły się ciemne postacie z karabinami na plecach. Zbliżały się one szybkimi krokami w stronę chałupy Mrozowej, która leżała zdaleka na samym końcu wsi. Po chwili mocne uderzenia twardych rąk dały znać, że przybyłszy dotarli już do celu swej wędrowki. Łomotanie przeszło po chwili w walenie kolbami karabinów i kopanie butami w drzwi. Gęste przekleństwa padały jak kamienie na bruk. Mimo jednak tych hałasów i przekleństw, drzwi nikt nie otwierał i w chałupie panowała grobowa cisza. Rozwścieczeni hitlerowcy uderzyli całymi ciężarami swych ciał na drzwi i wyważyli je, wpadając z impetem i hałasem w głąb chałupy. Zamigotały złowrogo latarki elektryczne oświecając wnętrze izby. Okazało się, że nikogo w chałupie nie było, choć łóżka były niezastane i jeszcze ciepłe. Hitlerowcy po daremnym rozglądaniu się po chałupie i obejściu, rozsiadli się w izbie i czekali paląc fajki.

Tymczasem wdowa Mrozowa z 15-letnią córką zbliżały się szybkimi krokami do miasteczka. Skierowały się z grupką ludzi w stronę kościoła, którego okna jarzyły się z daleka. W nawie głównej było już sporo ludzi, ławki były zajęte, więc Mrozowa z córką ukłękły kornie przy stopniach bocznego ołtarza, na którym był obraz Częstochowskiej i zatopiły się w porannych modlitwach. Ocknęły się na doniosły głos dzwonka i huczenie organów. Rozpoczęły się Roraty. Ksiądz w białych szatach mieniących się srebrem i złotem, zbliżył się w gronie ministrantów do wielkiego, suto oświetlonego ołtarza, nad którym górowała statua Niepokalanej w niebieskiej jak niebo szacie, w koronie z gwiazd, w której świeciły małe żarówki. Mrozowa westchnęła i utopiwszy błagalne oczy w twarzy Niepokalanej, zatopiła się w serdecznej, prostej z serca idącej modlitwie. A z chóru płynęły tęskne pieśni do Gwiazdy Zarannej i Ślicznej Jutrzenki. Tęsknota wzbierała w sercu biednej wdowy i żal dawał gardło. Sterana ciężką pracą i zmarnowaną ostatnimi przeżyciami zeszła się mocno i straciła radość. Pół roku temu pochowała męża, zabitego przez zbirów hitlerowskich, a teraz drżała o swą jedynaczkę, którą chcieli wywieźć na roboty do Niemiec. Ostatnio przyszło wezwanie z Arbeitsamtu, ale nie stała się z Jagusią. Czuła, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, które uderzy w jej najmiłsze ukochanie i radość życia. Wiadomo, że najbiedniejszych najpierw zabierano, bo bogaty, to zawsze się wykreci od biedy.

(Dokończenie na str. 327)

Rodzina katolicka w walce o pokój

Jak tylko krwawe zmagania Armii Radzieckiej i innych narodów słowiańskich starły w proch hydry hitlerowskie, z całego świata odezwały się głosy ludzi pracy i nauki wołające o pokój powszechny między narodami na kuli ziemskiej. Nie tysiące, ale miliony podpisów pod Apelem Sztokholmskim świadczy dobitnie, że ludzie pragną pokoju! Białe, żółte i czarne człowiek, ojciec swojej rodziny, matka dzieci i wreszcie same dzieci wszystkich ras ludzkich na całym świecie wołają — precz z wojną, my chcemy Pokój! Na kongresach Pokoju i robotnicy i chłopci, profesorowie, literaci, naukowcy, księża i inni, bez względu na przekonania polityczne i religijne uchwalają rezolucje zwalczające wszelkie agresje i wystąpienia wojenne.

Ludzkosć skrwawiona ostatnią straszną wojną pragnie życia spokojnego, chce pracować tylko dla Pokoju.

Polska Ludowa przez wynalazki uczonych, przez usprawnienia inżynierów i robotników, pracą rąk robotników, chłopów i pracowników umysłowych — we wszelkich gałęziach wytwórczości, sztuki, nauki, prasy, sportu itd. dąży do wzmocnienia potęgi rozwojowej kraju, a tym samym wzmocnienia przekonania u wszystkich o pokojowych dążeniach naszej Ojczyzny. Każdy obywatel Polski odczuwa moralny obowiązek popierania wszelkiej akcji dążącej do utrwalenia pokoju.

A przecież obywatele Polski Ludowej od najmłodszych do najstarszych grupują się w najmniejszych, lecz i zarazem podstawowych komórkach państwowości — to znaczy w rodzinach.

Hasła Walki o Pokój ogłaszają, aby każdy na swoim stanowisku pracy zawodowej i społecznej przez sumienne wykonywanie swych zadań przyczynił się do utrwalenia Pokoju.

Czy rodzina katolicka i w jakiej mierze może się przyczynić do zrealizowania tych szlachetnych haseł?

Może i to wielce nawet, bo szlachetny czyn potrzebuje moralnej pobudki, a ta wynikać może w wielkiej mierze z moralnego wychowania jednostki.

Umocnienie podstaw moralności zależne jest od wzajemnego oddziaływania na siebie członków rodziny.

Najlepszym wychowaniem w rodzinie katolickiej, to przykład moralnego życia jej członków.

Trudno wymagać na przykład od dziecka pijackiej rodziny takiego stopnia moralnego wychowania, jak od dziecka religijnie wychowanego na przykładnym życiu rodziców. A czy to wina właśnie dziecka, że musi od wczesnej młodości być świadkiem okropności scen pijackich wyczynów ojca?

A ile jeszcze mamy rodzin, które mają pretensje do miana „Katolickiej” gdzie nie zawsze starczy na dobre wyżywienie dziecka, gdzie zamiast krzyżka na stoliku, butelka z wódką stoi przy łóżku ojca.

Byłem raz zmuszony pójść do domu pijaka: Była to godzina południowa. Już na schodach poczułem zapach wódki, a otworzywszy drzwi do kuchni zastałem tam ojca pijaka leżącego na stole obok próżnej butelki. W kącie przy misce obranych ziemniaków obok zimnego jeszcze pieca, stał kilkunasto letni jego syn i patrzył na mnie, bo nie mogąc dogadać się z pijakiem, do niego zwróciłem się z zapytaniem. Nie pamiętam co mi odpowiedział cichym zastraszoną głosem, lecz do dziś dnia tkwi mi w pamięci wzrok chłopca; oczy pełne bo-

leści i wstydu za ojca, oczy nabrzmiałe łzami żalu widząc dziś jeszcze najwyraźniej.

Na szczęście jednakże nie wiele jest takich rodzin katolickich.

Wartością moralną wykonywania zobowiązań dla akcji utrwalenia Pokoju, to praca bądź wzmoczona, bądź ponadplanowa wymagająca w jakiej bądź kolwiek formie ofiarności od zobowiązującego się.

Pokój o który walczą miliony ludzi na świecie ma zapewnić nie tylko dobrobyt materialny, ale i spokój dla rodzin.

W rodzinie katolickiej jej szczęście i nierozzerwalność może właśnie zapewnić walka o miłość rodzinną. Czy istotnie trzeba aż „walczyć” o miłość rodzinną?

Jeżeli życie małżeńskie twoje, miły czytelniku, jest tak szczęśliwe, że możesz uśmiechać się czytając powyższe pytanie, prosz Boga, aby nie wystawił na próbę twej zbyt wielkiej ufności w własne — ja!

Lecz rozejrzyj się po swoich znajomych. Może nawet byłeś na niejednym ślubie, widziałeś ich pełne wzajemnej miłości spojrzenia. A dziś po kilku latach, mimo że nawet i dobrobyt jest ich udziałem widzisz, jak gniazdko miłosne toczy robak zazdrości, jak tamnie się przysięga małżeńska, jak małe dzieci muszą już być świadkami scen małżeńskich, jak zamiast wymarzonego „raju” — piekło na ziemi przeżywają. Dlaczego?

Dlatego, że najczęściej mężowi zabrakło odwagi do walki o miłość rodzinną, odwagi do walki o pokój w rodzinie. Kiedy białe płatki z różanego bukietu ślubnego zaczęły opadać dość często dopiero przypominamy sobie, że róże — nawet białe — też mają kolce. Tak, na świecie żyją tylko ludzie, nie aniołowie. Ludzie, których skłonności do złego wykrywamy już często w kolebce dziecięcej. A zło przychodzi samo do człowieka, a o dobro trzeba walczyć nieraz — z poświęceniem się. Szczęśliwe to małżeństwo, które już przed ołtarzem uświadomiło sobie wszechmiar trosk jakimi życie ich darzyć będzie.

Ile mniej byłoby nieszczęśliwych małżeństw, gdyby mężczyźni potrafili zwalczyć dwóch największych wrogów szczęścia rodzinnego: kieliszek i tę drugą przyjaciółkę, o której nie wie żona.

„Żona dobra tylko w domu” — to hasło źle pojmowanej wolności osobistej człowieka. A poza domem — ta druga, ta która wie, że bawi i ubiera się kosztem nędzy i łez ślubnej żony i dzieci.

I tak chce walczyć o Pokój człowiek, o ile dla zadowolenia własnych zmysłów rzuca na pastwę nędzy życiowej własną żonę i dzieci? Jak chce uczciwie wypełnić zobowiązania pracy, kiedy nie potrafi walczyć sam z sobą, o wypełnienie zobowiązań rodzinnych?

Ucieka wtedy człowiek taki przed głosem sumienia do kieliszka, przez który często traci zdrowie i pracę, a nieraz i życie... Stracona jednostka dla ludzkości, dla społeczeństwa. Dlatego też śmiało rzec można, że ojciec rodziny, który po uciążliwym dniu pracy na kawałek chleba, o ile znajdzie czas na chętną pomoc dla pracy żony w domu, o ile mimo zmęczenia pomoże dzieciom w odrabianiu lekcji, o ile nie „piorunami” a uśmiechem darzy najbliższych, o ile dba o religijne i moralne życie rodziny — ten człowiek walczy o Pokój! Walczy o Pokój starając się o to, aby ta cegiełka fundamentu państwowości — rodzina, nie kruszyła się moralnie, ale zdrowo i z pełnym poświęceniem pracowała dla dobra ogólnego. Tym większa jej wartość im lepsze wychowanie dzieci, im silniejsze więzy miłości rodzinnej, im większa ofiarność dla żony i dzieci.

Takich ojców i mężów na szczęście nie brak wśród rodzin katolickich, i często zwłaszcza wśród rodzin robotniczych, gdzie każdy groźny wysiłkiem codziennej pracy bywa zdobywany. Bo lekka praca, przy dobrych zarobkach, często bywa przyczyną wyszukiwania „towarzystwa” poza domem. Człowiek, który pracy poświęca się, ten też potrafi poświęcić się dla rodziny.

A umocnienia dla tych sił często szuka tam, gdzie w ciszy kościoła woła do niego Dobrowolny Więzień Tabernakulum: „pójdźcie do mnie pracą strudzeni; Ja was ochłodzę.” Tam znajduje niewyczerpane wzmocnienie do wytrwania w dobrym, siły do pracy, odwagę do życia, umocnienie w wytrwaniu w miłości rodzinnej.

Ojciec i mąż rodziny katolickiej zawsze podpisze się pod hasło Pokoju i dla utrwalenia jego pracować będzie, bo zbyt dużo składa ofiar dla żony i dzieci, aby chciał je wydać na pastwę kul i bomb.

ADONAI

O, Adonai i Wodzu domu Izraela, któryś ukazał się Mojżeszowi w czerwonym ogniu płomienia i dałeś mu prawo na Górze Synaj: przyjdź nas odkupić w opiece Twego ramienia.

POBUDŹ PANIE, SERCA NASZE DO GOTOWANIA DRÓG JEDNORODZONEMU TWEMU, ABYŚMY PRZEZ PRZYJŚCIE JEGO BYLI GODNI SŁUŻYĆ CI OCZYSZCZONYMI DUSZAMI, KTÓRY Z TOBĄ ŻYJE I KRÓLUJE W JEDNOŚCI DUCHA ŚWIĘTEGO BÓG NA WIEKI WIEKÓW.

AMEN.

(Z Antyfon Adwentowych w przekładzie Leopolda Staffa)



Ty, która przy ołtarzu ślubowałaś miłość i wierność dożgonną, żono i matko, czy też przyczyniasz się do utrwalenia Pokoju?

Tak i to często w większej mierze niż ojciec rodziny, bo i pracujesz zawodowo, a po powrocie do domu ileż to jeszcze, cie pracy czeka?

A nawet jeśli tylko zajęta jesteś pracą domową, ile wysiłku wkładasz w to, aby nie tylko mąż i dzieci byli ubrani, ale aby życie rodzinne nie było niczym zamącone.

Policzcie te godziny i noce nieprzespane nad łóżkami dzieci ukochanych, mimo że bezwiednie tyle trosk nieraz matce przyczyniają, policzcie te godziny nieskończonego przez jej życie cerowania; policzcie te troski codzienne za co i co ugotować, a mimo to jeszcze tyle innych kłopotów i zabiegów koło ubrania i wyżywienia rodziny a zrozumiesz treść wyrazu — żona i matka.

A to nie wszystko. Jako żona musi często łagodzić „burzę” rodzinne. Jako żona — w wielu niestety domach — znosi humory męża awanturnika. I kórz policzyć wtedy jej łzy przy wieczornym pacierzu?

Jako matka pierwsza dziecku składa rączką do modlitwy, pierwsza uczy ołówkiem kreslić niezgrabne litery, a później m. m. zmęczenia, ile razy pomaga przy odrabianiu lekcji. Ona dziecku wpaja zasady katechizmowe i w pełni odpowiedzialności przed Bogiem, pilnuje moralnego życia syna i córki. I wtedy, jak kiedyś nad kołyską, czy znowu nie wylewa łez wyciskanych przez własne dorosłe już dziecko?

I czyż my mężczyźni — przynajmniej się szczerze — z tej strony doceniamy walkę

kobiety o Pokój? A gdyby nie jej miłość dla męża i dzieci, czy zawsze ów mąż, syn czy córka znaleźliby lepszą moralną podporę do walki życiowej? Jej serce matczyne potrafi nie tylko pocieszyć, ono wzmacnia ducha, dodaje siły do poświęceń się pracy.

Te żony i matki rodzin katolickich nigdy wojny chcieć nie będą, bo może dziś jeszcze oplakują męża, syna, brata zamęczonego w obozie koncentracyjnym, lub poległego na wojnie.

A siła do wytrwania w tym codziennym trudzie szukają u stóp Matki Pocieszenia, u stóp Ukrzyżowanego składają w ofierze swoje codzienne krzyżki i wracają do domu wzmocnione, bo przede wszystkim proszą o miłość i pokój w swej rodzinie.

* * *

Z tych spokojnych i szczęśliwych bastionów ludzkości — rodzin katolickich — wychodzą do pracy dla Polski Ludowej tysiące synów i córek. Pracując uczciwie i wytrwale, za wzmocnienie do pracy biorą sobie świadomość moralnego wychowania rodzinnego. I na nich Państwo nie zawiedzie się.

Rodzina katolicka w wielkiej mierze przyczynia się do umocnienia Pokoju, przez moralne wzajemne oddziaływanie jej członków, które rodzi się i umacnia dzięki wprowadzeniu do jej życia zasad nauki Chrystusowej.

„Pokój ludziom dobrej woli!”

M. Z.

Dla młodzieży żeńskiej

MY I CHŁOPCY

Postawmy jasno sprawę.

Dobre „wychowanie” ucznia nie polega na stawianiu barier między chłopcami i dziewczętami, ale raczej na takim kierowaniu sumienia by w każdym wypadku wzajemny szacunek i umiejętność odpowiedniego zachowania się obroniły jednych i drugie w dniach, gdy życie, łamiąc sztuczne bariery zmusi ich do bliższego zetknięcia się.

Nie jesteśmy powołani do życia odosobnionego aż do chwili zawarcia małżeństwa, względnie do osiągnięcia dojrzałości.

W życiu współczesnym młode dziewczęta mają stałe i nieuniknione okazje do spotykania chłopców. W biurze, w szkołach i uniwersytetach, w pociągach, tramwajach, na lotniskach, na plaży, w zimie na nartach, na zebraniach towarzyskich — studentki czy robotnice, poważne czy lekomyślnie dziewczęta nie mogą uniknąć tego, że znajdują się często w towarzystwie chłopców.

Czy stosunki z nimi mogą być zdrowe, serdeczne i szczerze? Czy mogą poza tym być korzystne dla nich? Pod jakimi warunkami i z jakimi zastrzeżeniami?

Flirt.

Nie wahajmy się powiedzieć, że realizacja zdrowej i szczerzej przyjaźni między dziewczętami i chłopcami jest rzeczą rzadką i trudną.

Przeszkadza jej przede wszystkim wieczna pokusa flirtu, który ma swój delikatny i nieodpart wdzięk. Czym on jest właściwie? Polega na zbliżeniu trochę frywolnym, przejściowym i na pozór zupełnie niewinnym, pomiędzy młodymi ludźmi, którzy się sobie podobają, ale którzy nie mają innej intencji, jak tylko czynić pozory, że się ko-

chają, aby mieć przyjemność zabawienia się swoją iluzją. Rozmawia się, żartuje się, prawi sobie komplementy, prowadzi się zabawę w miłość.

Wyklucza się z góry wszelkie zamiary małżeńskie, czy jakiegokolwiek poważniejsze konsekwencje.

Nie pragnie się zakochania na dobre, ale chce się udawać miłość. Nie kocha się, ale wyobraża się sobie, że ta druga srona jest napewno zakochana i czyni się usiłowania przekonania jej o swojej wzajemnej miłości.

Są młode dziewczęta, które każde słowo chłopca pojmują jako najwyższy komplement, jeśli już nie jako oświadczenia miłosne.

A nieraz zupełnie nie potrzeba, by wypowiedział jakiegokolwiek słowa. Wystarczy, że rzuci na nie jedno dłuższe spojrzenie. Natychmiast zwracają się do przyjaciółki, do powiernicy, to znaczy... do pierwszej lepszej koleżanki, która się nawinie w danej chwili, mówią: „Jest! Dokonałam podboju! Ma on zwodnicze pozory...”

To właśnie nas, młode dziewczęta, flirt najwięcej pociąga i my same najczęściej go prowokujemy.

Wydaje się nam, z całą pewnością, że pod niewinnymi pozorami ukrywa się w nim dużo wdzięku. Jest to miłe spędzenie czasu, które daje pewną emocję. To doskonały sposób, żeby zająć trochę głębiej w czyjąś psychikę, żeby zwierzyć się z naszych poglądów i dać się bliżej poznać.

Flirt zaspakaja również naszą ciekawość rzeczy nieznanych, naszą fantazję, ma może posmak owocu zakazanego...

Łachce nieco naszą próżność, aprobeże naszą kokieterie. Każę nam wierzyć, że jesteśmy mniej osamotnione, mniej zapomniane, mniej słabe, ponieważ jakiś chłopiec nas zauważył i daje nam to poznać.

Czy nie wydaje się on nam również pewną zaprawą serca i przygotowaniem do przebudzenia uczucia głębokiego, które pozwoli nam pewnego dnia wybrać sobie towarzysza przyszłego życia?

Jest niebezpieczeństwem i wiarołomstwem. Wszystko to na pozór jest zupełnie niewinne.

A jednak mimo wszystko w tym poszukiwaniu i w tym przyzywczajaniu się do flirtu tkwi pewne wiarołomstwo i duże niebezpieczeństwo, którego następstwa są poważne, przede wszystkim dla nas samych.

Bardzo mało jest wśród nas takich, które są zdolne do zakochania się tylko „głową”. Serce daje się przedko złapać nawet na pozory miłości i z pomocą złudzeń i wyobraźni zmienia pozory uczucia na uczucie prawdziwe. Jeśli nawet zdobędziemy się na jasne zdanie sobie sprawy z głębokości naszych uczuć — ryzykujemy jednak w każdym wypadku, że nie potrafimy tego uczynić w stosunku do chłopców i że będziemy wierzyć, iż jesteśmy kochane, wtedy gdy dla nich będzie to tylko błahą zabawką.

Kiedy zaczynamy cierpieć nad rozwiązaniem naszych złudzeń, lub kiedy zdamy sobie sprawę jak to się najczęściej zdarza — że nasze serce stało się dla kogoś zabawką, popadamy w okrutną rozterkę, czujemy się oszukane i wzgardzone, żałujemy po nieszczęściu i rozpaczamy, albo też my z kolei stajemy się oszustkami i kokietkami i przez zamiętanie, i poddając się instynktowi.

Odwraca nas od naszego właściwego powołania kobiety:

Jeśli nawet nie stajemy się nieszczęśliwymi czy wiarołomnymi, to jednak w każdym wypadku flirt doprowadza nas do niepożądanych marzeń, do próżności, do ujawniania się złych cech charakteru, do egoizmu, lub odwrotnie — do jakiejś głupiej i dziecinnej fanfaronady. Zaprzęta zbyt często nasz umysł i odciąga od pracy, poświęcenia dla naszego najbliższego otoczenia w domu czy w szkole, od miłosierdzia i serdeczności, w stosunku do bliźnich. A czy nie należy wspomnieć o ciężkich przewinieniach dokonanych myślą, pragnieniem czy czynem, w które przez flirt możemy popaść?

Czy w rzeczywistości w przyjemności flirtowania nie ma poszukiwania złych wzruszeń, niepokoju, którego nie wolno budzić w sobie, ani też prowokować u innych?

Bóg, który chciał, żeby społeczeństwa rozwijały się przez instytucję małżeństwa, dał naturą młodych mężczyzn i kobiet przemożny wzajemny pociąg, pociąg, któremu małżeństwo chrześcijańskie daje prawne zaspokojenie pod wejrzeniem samego Boga i pod zawsze działającym wpływem łask sakramentalnych. Poza małżeństwem ten pociąg — silnie ujawniający się u młodych mężczyzn niż u młodych kobiet — nie może być zaspokojony. Podniecać go w sobie, prowokować go świadomie u drugiej strony — to znaczy narażać się na grzech i odgrywać rolę szatana kusiciela.

„Jestem dla drugiej osoby przyczyną upadku”. Któż śmiałyby wyznać to z zimną krwią? A jednak młoda dziewczyna jest tak przyczyną na pewnością, jeśli nie umie zachować pewnej rezerwy, jeśli poszanowanie dla siebie samej nie łączy się u niej z poszanowaniem dla duszy drugiego człowieka. Trzeba, żeby dziewczyna zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie zawsze wywiera. Trzeba, żeby wiedziała, że z pewnością niemal matematyczną, że taka, która nie za-

(Dokończenie na str. 327)

Kazimierz Gołba.

HOMER NA PIECU

Rzecz działa się w Krakowie, w gimnazjum św. Jacka przy ulicy Siennej w roku Pańskim 1919.

W ostatni dzień przed feriami świątecznymi nie było już właściwie nauki. Czas upływał na składaniu życzeń profesorom, łamaniu się z nimi oplatkiem i na wyciąganiu wzruszonych pedagogów na osobiste zwierzenia. Z jednymi udawało się lepiej, z drugimi gorzej.

Zacny prof. Jaworek, „gospodarz” klasy, zamiast pytać w dniu tym beznadziejnego opowiadania bajki o „Reinecke-Fuchsie” (nikt w klasie niemieckiego nie umiał!) rozgadał się — pod wpływem oplatka — bardzo ciekawie o wizycie Mickiewicza i Odyńca u Goethego w Weimarze. Ks. katechecie Franciszkowi Gołbie, którego nazywano Berkim, śpiewano oficjalnie koledy, a Jędrusi Gaik i Kazek Grochał palili pod ławkami trociczki, by w całej klasie czuć było kadzidło. Jedrusz nakreślał nadto co chwila swój mały budzik, który targał niesamowicie w kieszeni jego spodni. Najbardziej jednak wypadł z formy srogi na oko wąsał, matematyk Turosz, który przełknawszy spory chwył oplatka, tak się wynęczał przed pierwszymi ławkami:

— Myślicie, że Wojtek Turosz nigdy nie był miły? — Ho, ho! Ja wiedziałem, że mnie dziś zagadacie i że lekcja wam się upiecze. Dlatego nie przyniosłem z sobą cyrki ani moich kredek, choć wiecie, że ja zawsze omnia mea mecum porto. I jeszcze wam się przyznam — tu zrobił miną tajemniczą i dłoń rozłożył do ukrytych pod wiechą wąsów ust — że dziś wcale nie przygotowałem do lekcji. Bo trzeba wam wiedzieć, że Wojtek Turosz też się uczyć musi i jest — sit venia verbo — duřen!

— Hu, hu, hu! — zawyla na to klasa, aż zadziały czcigodne, na przeszło metr grube, dominikańskie mury. Nie było wyjątku. Rycalem ja, ryczeli moi sąsiedzi Jaś Sawliński i Michał Rusinek, wsparli nas basem Stopczak i Jodłowski, ba! nawet stateczny prymus Felek Setkowicz wydawał jakieś dziwne odgłosy.

Prof. Turosz przełknął się takiej reakcji. Wprawdzie ryk nasz nie mógł się przebić przez podwójne szyby na zewnątrz i spaść jak trąba powietrzna na dominikańskie jatki (dziś już nie istniejące, lecz pełne wówczas kupujących), ani też napęlić wrzawą dzwoniącą z drugiego skrzydła gmachu radcę Bednarskiego, groźnego dyrektora gimnazjum, który najpoważniejszym profesorem w chwilach dobrego humoru podawał najwyższe dwa palce. Dlatego nieszczęsny matematyk czynił wszystko, by nas uciszyć, lecz klasa raz rozchukana nie dała się już poskromić.

„Pan radca” jakoś się nie zjawił, ale nowe niebezpieczeństwo zagroziło ze strony profesora greki Chowańca, zwanego „Piłką”, który żądnym wzruszeniem nie podlegał, a miał mieć następną lekcję, zaraz po wielkiej przerwie. Na dzień ten przypadało wygłaszanie „memorowanych” ustępów „Iliady”, na co nikt z nas nie był przygotowany. Katastrofa zawiła nad nami nieuchronna, lecz nikt o niej nie chciał myśleć.

Na wielkiej przerwie zbiegliśmy z hukiem na dół. W obszernej sklepionej sieni, przylegającej do mieszkania tercjana Olejaka, wydawano garnuszek ciepłej strawy z da-

row „Cioci Imci”. W gwarze naszej strawa ta nazywała się „cupcyk”. Ow „cupcyk” przybierał na zmianę postać kakao, ryżu słodkiego na mleku, bądź grochu na gęsto. Dwa pierwsze cupcykowe wcielenia miały wielkie powodzenie, natomiast groch spotykał się u mnie głodnych ze wzgardą, skutkiem czego kilkanaście garnuszków zostało zwykle nietkniętych na stole.

Tak się zdarzyło w ów dzień przedświąteczny. Sam zapach grochu oczyścił prastarą sien z grymasników, nastawionych już na specjalny domowy, a stół się najeżył pełnymi garnuszkami jak nigdy.

Ktoś jednak podpatrzył, że w opustoszałej sieni skryli się w kącie Józio Piwowarski i Tadek Pagowski. Obaj mieli z sobą „Iliadę” i ze strachu przed „Piłką” zaczęli wkuwać zadaną ostatnią modlitwę do srebrnoluskiego Apollona.

— Zdrada, mości panowie! — wrzasnęło kilku bijących się śniegiem na podwórzu i pod wodzą spryciarza Kazka Grochala wtargnęło hucznie do tercjańskiej sieni.

Józio Piwowarski, jako że był mizernej postaci, zdołał dać nurka pod wzniesione łokcie kolegów i wymknąć się do klasy, ale Pagowski musiał wycierpieć za siebie i za niego. Nosił on sztywny, niezwykle wysoki kołnierzyk z celuloitu, w którym ginęła doszczętnie jego szyja, a do czytania wkładał okulary, które zjednały mu przezwisko „doktora Ku-En-Lin”. „Doktorowi” nie można było dać w kark ze względu na ów pancerny kołnierzyk. Stąd jeden z kolegów (nomina sunt odiosa!) chwycił ze stołu garnuszek z grochem na gęsto i całą jego zawartość wlał Pagowskiemu za kołnierza obzernej — jak się zdaje — ojcowskiej kapy. Napastnicy zlekli się trochę skutków tego zbyt pochopnego czynu i pogrzebieli równo z dzwonkiem do klasy, zaś ocekający grochem delikwent powłócił się ostatni i natknął na korytarzu na zdążającego do klasy wahadłowym krokiem „Piłkę”.

Prof. Chowańiec, ujrawszy żalną twarz ucznia, poprawił sobie na nosie „cwikier”, który miał połączony czarnym sznurkiem z guzikiem kamizelki, i obejrzawszy dokładnie ofiarę, wykrzyknął z oburzeniem:

— Cóż to za sposób! Ktuo ci to zruobił?

Ale Tadek Pagowski był dobrym kolegą i nie zdradził sprawcy „figla”.

— Nie wiem! — wybąkał. — To było z tyłu...

Tymczasem w klasie, do której schronił się Piwowarski, dyżurni — usłyszawszy, o co chodzi — wyrzucili mu „Iliadę” na piec. Piec był kaflowy, zwalisty i wysoki, a jasnowłose Józio, piastowskie pachole, wyglądał przy nim jak karzełek. Płakał bezradnie w otwarte drzwiczki olbrzyma.

Gdyśmy po przerwie hurmą wrócili z podwórza, zaczął biedny Józio błagać najwyższego z nas Zdzisława Pelca o pomoc. Pelc, jak na wyrwidęba przystało, serce miał miękkie. Podniósł Józia w górę jakby nic i cisnął go na piec.

W tej chwili ktoś krzyknął od drzwi:

— „Piłka” na korytarzu!

Wszyscy skoczyli do ławek, Pelc również, a Józio Piwowarski został samotny na piecu. Do klasy wszedł naprzód ze spuszczoną głową kapiący grochem „dr Ku-En-Lin”, a za nim wkroczył Chowańiec. Powstałszy na powitanie i usiadłszy bez szmeru. Wstrzymaliśmy nawet oddechy.

„Piłka” szedł chmurny, kiwając się jak wahadło, z prawą ręką rozmachaną, której

mały palec odstawał na zewnątrz jak kołec. W lewej niośł teczkę. Był jak zwykle w spłowiawym granatowym zaklecie, którego poły miały z tyłu wygląd skrzydeł majowego chrabaszczka. Wśród śmiertelnej ciszy minął piec, tablicę i wstąpił na stopień katedry.

Wójt klasy, Tadek Pisarski, rozglądał się niepewny, czy wyjść zaraz z oplatkiem, czy nie. Poczułem wtedy strach w kościach i trącam łokciem Rusinka:

— Michał! Masz „Zewsa”?

(„Zewsem” nazywaliśmy archaiczny bryk Rusinka, w którym ojciec bogów i ludzi nosił takie miano jak u Wyspiańskiego. (Uczni kiedyś wyjaśnia, czy autor „Nocy listopadowej” wychował się też na tym bryku!)

Ale Rusinek spojrzał na mnie ze wzgardą:

— Frajer jesteś, czy co?

Epitet ten był tak obraźliwy, że zaraz wyrzekłem się bryka.

Tymczasem „Piłka” utopił oczy i „cwikier” w dzienniku, a zapisując lekcję, rzucił na oślep:

— Wygłosz... Piwowarski!

Spazm śmiechu chwycił nas za gardła i za brzuchy. Lecz dusząc się nie wydaliśmy nawet jęku. Oczy nasze biegały bez przerwy od śniadej, góralskiej twarzy profesora, wciąż jeszcze nie wiedzącego o niczym, do Józia, który z desperacką miną siedział na szczycie pieca ze zwieszonymi w dół nogami i nie wiedział, co począć.

Ale „Piłka” nie słysząc deklamacji, oderwał wzrok od dziennika i skierował spojrzenie górne (sponad „cwikiera”) na puste miejsce w pierwszej ławce, gdzie zwykle siedział Józio. Nie widząc tam nikogo, poderwał się z katedry i podchodząc ku ławce, huknął głosem starego bacy, który zgubił owcę w Tatrach:

— Piwowarski! A gdzieżes ty?

A wtedy wśród przejmującej ciszy i sinych z duszenia się twarzy, gdzieś spod sufitu, niczym z wyżyn boskiego Olimpu, zabrzmiała płaczem wezbrana, cienkim głosem skandowana modlitwa do Srebrnoluskiego:

— Klythi meu, Argyrotoke, hos Chrysen amfibebekeas.

Kilian te dzateen Tenedojo te ifi anassejs...

„Piłka” osłupiał. Poprawił spadający z nosa „cwikier” i zadał głowę do góry: Homer przemówił z pieca!

W tej chwili pękła tama. Nikt nie wytrzymał dłużej. Ryk śmiechu rozpełnął się w klasie. Najpoważniejsi tarzali się po ławkach, roniąc obficie łzy i czując kolkę w brzuchu. Był to śmiech żywiołowy, podobny do wycia małych lub rżenia dzikich koni.

Rżał i tarzali się prymus Setkowicz i wójt klasowy Pisarski. To samo robił Pelc, Franuś Zbroja, Sawliński i Rusinek, to samo kandydaci na księży: Jaś Grzywina i Maniek Stopczak. Wszyscy bez wyjątku. Ja sam dostawałem boleści.

„Piłka” stał nie mogąc dojść do słowa, tylko gestami coś wskazywał. U tego człowieka nikt jeszcze nie widział uśmiechu, a teraz czarne wąsy zaczęły mu dziwnie drgać, a śniada twarz zlagodniała w surowym wyrazie. Widocznie śmiał się także. Dopiero po dłuższej chwili, gdy śmiech powszechny zaczął dogorywać, przebił się przez wrzawę głos profesora Chowańca:

— Cóż to za sposób? Pomóżcie mu zejść!

Zdzisek Pelc i najwyższy po nim Franuś Zbroja byli już przy piecu. Nieszczęsny Józio spłynął po ich ramionach z Olimpu na klasowy padół. Jednocześnie wójt Pisarski stanął przed „Piłką” z oplatkiem. Profesor dał się udobruchać i zrezygnował z dalszego pytania „Iliady”.

Klasa odniosła zwycięstwo.

PAPIEŻ DZIECI

Z Piusem X wstąpił na tron papieski mąż, który pod względem charakteru jak i usposobienia znacznie różnił się od swego poprzednika Leona XIII. Leon XIII był wielką osobistością. Najpotężniejsi książęta i najwięksi dyplomaci owych czasów zginali przed nim w Watykanie swoje kolana i nie mogli się oprzeć wielkiemu wrażeniu, jakie na nich ta postać wywierała. Z osoby Leona XIII biła wielkość, która czyniła go niedostępnym.

Pius X zaś był przede wszystkim ojcem i w jego obecności można się było czuć jak u siebie w domu. Na ustach jego widniała łagodność, a z oczu biła dobroć — z całej postaci zaś promieniowała świętość jego pięknej duszy. Specjalnie należy podkreślić jego stosunek do dzieci. W niewinnych oczach dzieci widział promień boskiego piękna i resztki utraconej szczęśliwości rajskiej. Darzył je swoją miłością, a one odwzajemniały się mu swą dziecięcą prostotą. Cisnęły się do niego i rozmawiały z nim bez żadnego lęku, nie zważając na jakiegokolwiek formy towarzyskie.

„Tak — Ojciec święty — rozumie się — Ojciec święty” — były często odpowiedzi na jego pytania.

„Niech pobłogosławi mnie Jego świętobliwość” — prosił ku ogólnemu zdziwieniu jeden z chłopców — a Ojciec św. nie tylko spełnił jego prośbę, ale jeszcze ucałował czoło dziecka.

Niejedno z dzieci widząc tę dobroduszną postać Ojca św. po ojcowsku się ku nim odnoszącą sądziły, że to chyba jest sam Pan Jezus, o którym tyle słyszały od swych matek. Wtedy można było słyszeć z ust ich po-

chodzące pytania: „Mamo, czy to jest Pan Jezus?” albo, gdy ze szczerej radości wzdychały wyrażając imię Jezus.

W ten sposób spotykała się ta wielka dusza papieża z niewinnymi duszyczkami dzieci.

Epokowy czyn pontyfikatu Piusa X dotyczył dzieci. Wydając sławny dekret o wczesnej Komunii św. otworzył ten wielki przyjaciel dzieci dla nich tabernakulum w wieku, w którym Boski Zbawiciel znajduje młodociane serduszka jeszcze nieskażone grzechem i kiedy może je wziąć w swoje posiadanie.

Wielką radość sprawiały Piusowi X proste dziecięce listy, dzieci przystępujących do pierwszej Komunii św., w których donosiły mu o wielkim szczęściu z przyjęcia Boskiego Zbawiciela do serca.

Często i chętnie udzielał Pius X osobiście dzieciom Komunii św. Pewna dama użyłszy posłuchanie u Piusa X wzięła ze sobą czteroletniego synka, aby go Ojciec św. pobłogosławił. Podczas gdy ona rozmawiała z Ojcem św., malec stał z dala i czekał cierpliwie na koniec audiencji. Kiedy zauważył, że audiencja się już kończyła, podszedł do Ojca św. a położywszy swe dłonie na jego kolanach, patrzył z ufnością nań jak gdyby czegoś oczekiwał.

— Ile lat liczy ten chłopczyk? — zapytał Pius X głaskając go po głowę.

— Cztery lata — odpowiedziała matka — za dwa lub trzy lata przystąpi do pierwszej Komunii św.

— zapytał Ojciec św. chłopczyka.

— Kto przyjdzie do ciebie w Komunii św.

— Jezus! — odpowiedział pewnie i radośnie.

— A kto to jest Jezus?

— Jezus jest to Bóg — wyrzekł bez zająknięcia chłopczyk.

— Proszę jutro rano przyprowadzić dziecko, a ja sam udzielię mu Komunii św. — zwrócił się papież do matki.

Uszczęśliwieni wyszli z audiencji. Naza jutrz byli znów na audiencji w Watykanie, ale tym razem był tam sam Zbawiciel, który po raz pierwszy zstąpił w czyste i niewinne serduszko dziecka.

Jedną z najradośniejszych chwil życia Piusa X — jak sam oświadczył — była wielka pielgrzymka dzieci do Włocznego Miasta, odbyta na wiosnę 1912 r. Było to niedługo po ogłoszeniu dekretu o wczesnej Komunii św. Do Rzymu udało się cztery tysiące dzieci przystępujących do pierwszej Komunii św., aby osobiście podziękować Namiestnikowi Chrystusowemu za dekret pozwalający im wcześniej przystąpić do Stołu Pańskiego. Ożywały się stare mury Watykanu — cztery tysiące głosów dziecięcych wszędzie rozbrzmiewało — gwardia papieska nie robiła przeszkód armii małych pielgrzymów. W radosnym oczekiwaniu i z niecierpliwością szły szeregi dzieci poprzez wspaniałe sale Watykanu. Cisnąć i popychać się starali się niczego nie pominąć i jak najprędzej zobaczyć Ojca św. W końcu doszły do sali tronowej i zobaczyły wielkiego przyjaciela ich serc siedzącego w białych szatach na wspaniałym tronie. Papież z miłością spoglądał na nich i błogosławił im. One zaś opowiadały mu, jak bardzo go kochają i że nie czują żadnej bojaźni wobec niego a iż radości ciekły z ich oczu a wiele z nich aż płakało ze wzruszenia. Wiele z nich prosiło Ojca św. o różne łaski.

Tak musiała przedstawiać się scena w Galilei, kiedy Pan Jezus kazał Apostołom dopuścić do siebie dzieci i mówił do nich: „pozwólcie dziećcom przyjść do mnie, albowiem ich jest królestwo niebieskie”.

Ks. Antoni Sznajder S. D. S.

„RORATE COELI...”

(Dokończenie ze str. 323)

Rozumiała, że córka nie może przy niej dłużej zostać, bo prędzej, czy później po nią przyjdą sami i zabiorą. Nie chciała puścić jej daleko od siebie w świat, bo to jej radość życia i jedyna pomoc w gospodarce. Nie wiedziała jednak co ma robić. Modliła się o radę do tej Matki Dobrej Rady. Jej oddała swe ukochane dziecko, jako Najczulszej Matce. Naraz spłynęła jej myśl, aby udać się po radę do księdza proboszcza. Z otuchą w sercu modliła się dalej. „Rorate coeli desuper” płynęły słodkie słowa, w których brzmiała tęsknota tysiącletniego ludzkiego pokolenia. „Niebioska spuście ratunek” — szeptały wargi wdowy. Dźwięk dzwonków i dym kadzidła napępiał wnętrze świątyni i wlewał się niby balsam kojący w serce Mrozowej. Msza dobiegała końca. Jeszcze kilka pieśni, kilka westchnień i ludzie zaczęli się rozchodzić do codziennych zajęć. Za oknami już dniało. Mrozowa westchnęła do Bogarodzicy, udała się z córką do zakrystii. Ksiądz Proboszcz przywitał ją serdecznym słowem, a dowiedziawszy się o co chodzi, zawołał uradowany: „Chyba sam Bóg Mrozową mnie przysyła, bo akurat siostra moja zaniemogła i potrzebuje do pomocy jakiejś dziewczynki, co by dziecka przypilnowała i to i owo w gospodarce pomogła. Więc dajcie Jagusię, to dziś zaraz ze szwagrem pojedzie, a rzeczy to później jej zawieziecie, czy pocztą poślecie. Za dro-

MY I CHŁOPCY

(Dokończenie ze str. 325)

chowuje pewnych ostrożności w swoim ubraniu, zachowaniu, ruchach, rozmowie, wywiera na młodych mężczyzn, których spotyka, najgłówniejszy wpływ.

Flirt nie prowadzi do prawdziwej miłości.

Zapewne uważacie mnie za bardzo surową, za wielką pesymistkę i za tchórzliwą...

Zapewne sądzicie, że poprzez flirt w istocie chcę potępić każde uczucie, każde jego rozbudzenie i jego rozwój w sercu! Otóż nie! Mylicie się bardzo! Przeciwnie, to właśnie dlatego, że pragnę, byście szanowały, poważały i kochały miłość taką, jaka powinna być, właśnie dlatego chcę was ostrzec przed jej skrzywieniami.

Otóż właśnie flirt jest takim jej skrzywieniem!

Te udane wyznania, dyskretnie podarunki, słowa mniej lub więcej frywolne — to nie jest właściwe pojęcie miłości! Taki sposób patrzenia na nią przyzwyczają was do życia w łatwym świecie, w środowisku miernym i nieodpowiednim. Nie pozwala wam zrozumieć miłości takiej, jakiej pragnął Bóg dla serca ludzkiego. Niepokoi was i poniża.

Piękno miłości prawdziwej.

Miłość nie jest zabawką, ale bezcenną wartością.

Nie mamy prawa bawić się miłością i żartować z niej lub ją udawać, jak czynią ci, którzy bawią się we flirt. Miłość — wyobrażenie Boga — jest najpierw obowiązkiem, potem przyjemnością. Miłość jest jedną z postaci miłosierdzia, poświęcenia, wysiłku przełamania egoizmu i miłości własnej, a nie zabawką umysłową, jak we flircie, lub fizyczną, jak w rozpucie.

Flirt pozbawia miłość jej głębokich i mo-

nych pierwiastków trwałości, jedności, oddania się całkowitego i świadomego, poświęcenia i ofiary. Flirt nigdy się nie skończy uczciwymi zaręczynami. Przyzwyczajają on do igrania z miłością, gasi ją, zamiast ją rozpalić i przygotować. Daleki jest od tego, by być przygotowaniem do tego życia sercem, gdy staniemy się kiedyś małżonkami, matkami — flirt czyni nas ponadto niezdolnymi do miłości, a nawet, jeśli jest posunięty za daleko, niegodnymi jej.

Dla przyszłego ogniska rodzinnego.

Ta właśnie szczerość i prostota zachowania, prawda i rezerwa w słowach wobec młodych mężczyzn, przygotowuje nas prawdziwie do życia, do poświęcenia, do pełnego rozwoju i do pełnej równowagi naszych zdolności kochania, nie przynosząc zamieszania wewnętrznego ani niepotrzebnych wzruszeń.

To dalej zwyczaj obserwowania i osądzania mężczyzny nie z zewnętrznego wyglądu czy z fałszywych często słów, ale z prawdziwych zalet duszy i wartości moralnej.

To wreszcie ćwiczenia poświęcenia, miłosierdzia w naszym obecnym środowisku, które nas przygotowują najlepiej do poświęcenia i do podtrzymywania jedności serc, co jest wielkim obowiązkiem miłości, takiej, jakiej później musimy szukać i jaką poznać.

Czystość i spokój serca, poszanowanie czyjeś ja i szczerza prostota naszych obyczajów i naszego zewnętrznego wyglądu wobec młodych mężczyzn — oto są obowiązki narzucające się tym, które pragną być szczęśliwe i równocześnie dumne ze swego życia moralnego.

(Les Rayons).

se płaci szwagier. Nie bójcie się, krzywdzić nie będzie i nic złego ją nie spotka. Wiem żeście dobrze ją wychowali, więc możecie być o nią spokojni." Wdowie aż dech zaparło z radości, ale żal było córkę tak zaraz obcym oddać. Rozplakały się przeto obydwie, ale że wiele czasu nie było, więc poszli wszyscy na śniadanie i na dworzec. Lokomotywa gwizdnęła i zapłakana Jaguśła wdowie z oczu zginęła. Mrozowa we-

stchnęła ciężko i powlokła się do chałupy. Kiedy zobaczyła z dala rozwalone drzwi, coś ją tknęło i wstąpiła do sąsiadki. Tu dowiedziała się całej prawdy, więc przeciekała dzień. Kiedy wieczorem zobaczyła ciemne postacie chyłkiem wychodzące z jej chaty, odetchnęła i wróciła do domu. Wszystko było powywracane i zabrudzone. Tylko lampka tliła się słabym płomieniem przed obrazem Częstochowskiej... „Aifos“.

Tragiczny „błogostan”

Równocześnie ze zmianą waluty wprowadzono znaczną podwyżkę na jeden towar, a mianowicie na wódkę. Prasa polska poświęciła ostatnio cały szereg artykułów problemowi alkoholizmu. Słusznie pokreślono, że obok chorób wenerycznych i gruźlicy stanowi on trzeciego groźnego wroga zdrowia fizycznego i duchowego naszego społeczeństwa i urasta do rzędu ważnego problemu o zasięgu ogólnonarodowym.

Na wstępie należy podkreślić, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy umiarkowanym piciem alkoholu, a alkoholizmem. Alkoholizm występuje w trzech formach: albo ktoś spożywa alkohol wprawdzie w niedużych dawkach ale codziennie, lub prawie codziennie; albo pije rzadziej, ale wówczas doprowadza siebie do stanu nieprzytomności; albo co jest najcięższą formą alkoholizmu, pije i często i dużo. Podczas gdy umiarkowane picie alkoholu od czasu do czasu nie może budzić zasadniczo specjalnych zastrzeżeń, o tyle alkoholizm jest czymś złym zarówno z punktu widzenia etyki, jak i medycyny, eugeniki, pedagogiki czy też socjologii.

Owe skutki, jakie wywołuje alkohol u pijącego dadzą się, zwłaszcza w pierwszej fazie, ująć w formę t. zw. euforii czyli „błogostanu”. To jest główną przyczyną, dla której ludzie piją alkohol, a raczej wyszukują tuzin najrozmaitszych „powodów”, mających rzekomo uzasadnić libację.

Owe powody picia alkoholu zestawili trafnie i dowcipnie dyr. Duchowicz, znany działacz przeciwalkoholowy w okresie międzywojennym. Oto jego wypowiedź na ten temat: „Jeżeli ludzie, którzy się długo nie widzieli, spotkają się, piją aby się sobą nacieszyć. Skoro zaś ktoś odjeżdża i nie ma nadziei aby znajomi prędko go zobaczyli, piją z żalości za odjeżdżającym. Jeżeli się dziecko urodzi „oblewają” chrzciną; umrze ktoś zapija się na styple utratę drogiej osoby. Skoro kupuje ktoś dom, krowę lub ubranie nie obejdzie się bez alkoholu, podobnie jak i przy sprzedaży. Skoro ktoś jest głodny, pije aby głód zagłuszyć, a gdy znów sobie podje, pije „na strawność”. Jak ktoś nie może jeść, pije aby zaostrzyć apetyt. Człowiek chory pije alkohol jako lekarstwo, gdy natomiast wyzdrowieje pije z radości że go choroba opuściła. Skoro ktoś ma ciężką pracę do wykonania pije aby sił do niej nabrać; zmęczony znowuż pije aby siły odzyskać. Gdy człowiek spać nie może również pije, aby go sen zmorzył; skoro jest senny również pije aby sen odpuścić.”

Sprawdza się w pewnej mierze przysłowie: kto chce psa uderzyć ten kij znajdzie. Kto chce się napić ten zawsze wyszuka jakiś powód.

Do problemu alkoholizmu odnosi się nasze społeczeństwo niepoważnie, a pijany spotkany czy to na ulicy, w tramwaju lub w domu cieszy się niemal ze sympatią otoczenia. Bezpośrednie objawy podniecenia alkoholowego, czy nawet upicia się wywołują najczęściej na twarzy widzów przyjaźny, wyrozumiały uśmiech. Warto by jednak spojrzeć niejako na odwrotną stronę

tego zagadnienia, zajrzeć za jego kulisy, zgłębić ten problem i potraktować go tak poważnie, jak na to zasługuje.

W styczniu 1949 r. odbyły się misje w Orneć 4-tysięcznym miasteczku w powiecie braniewskim na Warmii. Według danych z prasy (I. K. P. nr 6, 1949) osiemnastotysięczny powiat braniewski konsumował w owym czasie miesięcznie alkoholu za 6 milionów zł. Ojcowie Redemptoryści, którzy dawali te misje, podkreślili w naukach bardzo mocną niebezpieczeństwo i zło alkoholizmu. Postanowiono ufundować wielki krzyż, na który wszyscy tamtejsi notoryczni pijacy mieli złożyć przyrzeczenie abstynencji od alkoholu. Przy śpiewie nabożnych pieśni 50 notorycznych pijaków sporządziło w pobliskim lesie duży krzyż i wreszcie orszak ten wyruszył do Orneć odległej o 3 km. W centrum miasta przylączyła się do tych „pokutników” gromada wiernych, a kiedy procesja przybyła pod kościół, wkopano krzyż i jeszcze raz powtórzono przyrzeczenie. I oto co się dzieje... Powoli tłum się rozszedł i większość tych, którzy składali przed paroma godzinami przyrzeczenie spotkała się jeszcze tego samego dnia wieczorem w pewnej knajpie aby „zapić” uroczystość przyjęcia do Bractwa Trzeźwości. Niewiadomo czy wesoło uśmiechnąć się, czy też desperacko machnąć ręką. Czyż fakt ten nie jest wprost tragiczny? Przecież ci ludzie mieli być wziętymi do ręki, ale jakże straszliwie słabą wolę. Nałóg alkoholizmu chwycił ich już całkowicie w swe szpony i naprośno rozpaczliwie się szarpia by się z nich wyrwać.

To jest właśnie jedna z najniebezpieczniejszych cech każdego narkotyku, a więc i alkoholu a mianowicie to, że tak łatwo używanie go przeradza się w nałóg. Po dziś dzień nie udało się medycynie wynaleźć środka, który by potrafił skutecznie wykorzenić ten nałóg.

Po stwierdzeniu tego zasadniczego zjawiska, a mianowicie łatwego powstawania nałogu alkoholizmu, należałoby zwrócić uwagę na jego ujemne skutki, przynajmniej niektórych.

Oto alkohol spożyty w większej ilości paraliżuje ośrodki hamujące w psychice człowieka i wyzwala w niej najbardziej prymitywne, nieraz zbrodnicze instynkty.

Nie dziw więc, że w takim stanie człowiek dopuszcza się czynów kolidujących z kodeksem karnym.

Szkodliwe działanie alkoholu daje się we znaki zwłaszcza tam, gdzie chodzi o osoby spełniające funkcje od których zależy bezpieczeństwo, a nawet życie innych ludzi. Zaliczyć do nich należy przede wszystkim szoferów, kolejarzy, tramwajarzy itp.

W latach 1945—46 w okresie 20-miesięcznym zginęło w Polsce przejeżdżających na śmierć przez pijanych szoferów 33 tys. osób. Dziennie ginęło 55 ludzi. Oczywiście, że obecnie dokonano się wielka zmiana na korzyść. Przepisy dla kierowców pojazdów mechanicznych przewidują surowe kary, do odebrania prawa jazdy włącznie, za prowadzenie wozu w stanie nawet lekkiego podniecenia alkoholowego. Powtarza się jednak

jeszcze niekiedy historia z pijanym szoferem, który po jednym „głębszym” prowadził wóz ciężarowy, wpada na latarnię i po paru miesiącach wychodzi ze szpitala jako inwalida — jak to przedstawia znany plakat rozklejony na murach naszych miast i miasteczek.

Według dr. B. Puchawskiego (Badanie Trzeźwości, Warszawa 1948, str. 25) szofer już po wypiciu 10 g alkoholu tj. zaledwie jednego małego kieliszka wódki, lub szklanki piwa tak osłabia zdolność do szybkiej orientacji, że może spowodować katastrofę prowadzonego pojazdu mechanicznego. Bardzo czułyymi przyrządami daje się dziś bezspornie stwierdzić paraliżujące działanie nawet kilkakrotnie mniejszych dawek alkoholu na nerwy dorosłego człowieka.

Obok przysłów, które są „mądrością narodów” są też powiedzenia — przysłowia wręcz idiotyczne, powtarzane przez ludzi lekkomyślnych. Do tej drugiej kategorii nielicznych przysłów możnaby zaliczyć i to: od wódki jeszcze nikt nie umarł, a niejednego się urodził.

To przysłowie pijaków zwraca uwagę pośrednio na inne jeszcze dalsze smutne następstwa alkoholizmu, a mianowicie na obciążenie dziedziczne potomstwa pijaka. Niestety wskutek alkoholu rodzi się niejedno dziecko, ale jakże życie jego jest często wręcz tragiczne! Dlaczego? Oto dlatego, że dziecko, ale jakże życie jego jest często znajduje się w stanie silnego zamroczenia alkoholowego, będzie prawdopodobnie upośledzone fizycznie i psychicznie. Dzieje się to wskutek szkodliwego wpływu jaki wywiera alkohol, już w parę godzin po spożyciu, na plazmę komórek zarodkowych.

Na Wystawie Higienicznej w Poznaniu parę lat przed wojną, zorganizowanej przez Ubezpieczalnię Społeczną, umieszczono m. in. obraz wykazujący wielkie nieszczęście, jakie może przynieść społeczeństwu jedna para pijaków. Tablica ta opracowana przez dr. Puławskiego przedstawia potomstwo Józefa N., pijaka i Katarzyny N., histeryczki, córki pijaka. W czterech pokoleniach było: 5 pijaków, 3 głupkowatych, 2 obłąkanych, 4 chronicznie chorych, 3 histeryczki, 4 złoćwinców, 2 z wodogłowiem, a tylko 2 normalnych.

Patronem dla tych wszystkich, którzy pragną zdźwignąć się z nałogu alkoholizmu, może być irlandzki robotnik, Mateusz Talbot, nagle zmarły na ulicy w Dublinie 7-go czerwca 1926 r. Przybyli z pobliskiego szpitala sanitariusze mogli podjąć z bruku ulicy tylko martwe zwłoki.

Przygotowując zmarłego do pogrzebu, znalezione przy nim narzędzia umartwień, którymi na sposób pokutników „karał” swoje ciało. Znalaziono różaniec, medaliki. Wreszcie stwierdzono, że nazywa się Matt Talbot, robotnik, lat 69. Wkrótce zrozumiano kim był ten zmarły. W parę miesięcy po tym wypadku pojawił się jego życiorys, który w krótkim czasie rozszedł się w nakładzie 120 tysięcy egzemplarzy. Równocześnie ujawnił się kult zmarłego wśród ludności Dublina i obecnie toczy się jego proces kanonizacyjny.

Mateusz Talbot jako biedny robotnik pracował zrazu jako murarz, a potem został dozorcą w handlu drzewem. Zie znajomości i słabość woli zrobiły swoje. Został nałogowym alkoholikiem. Przepijał cały zarobek. Okradał rodziców aby zdobyć tylko gotówkę. Kiedy miał lat 27 znalazł się pewnego dnia zupełnie bez pieniędzy i poprosił jednego z kolegów o pożyczkę. W odpowiedzi usłyszał słowa, które go wzburzyły: „Jesteś bydle!” Wrócił do domu i złożył matce przyrzeczenie, że już więcej nie będzie pił. Słowa swego dotrzymał! A. B.

Z diecezji

Zabytkowa świątynia dźwignięta z gruzów

Świdwin jest małym miasteczkiem w powiecie białogardzkim na Pomorzu. Obecnie liczy około 8.000 mieszkańców, z rozmachem budujących nowe życie na nowych ziemiach. Burza wojenna nie oszczędziła Świdwina. Zostało po niej wiele ruin i gruzów, które po dziś dzień jeszcze świadczą o rozmiarach zniszczeń, jakie dotknęły to miasteczko. Pastwą wojny padła także naprawdę piękna świątynia, wzniesiona w 1338 r. rękami przodków naszych, zanim wyparła ich z tej ziemi przemoc wroga.

Repatrianci przybyli tu ze wszechstron w roku 1945 z żalem i bólem spoglądali na ruiny wspaniałego kościoła. Zostały z niego smutno sterczące ściany i wielka ilość gruzów wewnątrz zniszczonego budynku i wokół niego. Początkowo nikomu ani na myśl nie przychodziło, by można było dźwignąć te ruiny. Nabożeństwa były odprawiane w małej i ciasnej kapliczce, mogącej pomieścić w swoim wnętrzu zaledwie garść ludzi.

Nowe, polskie fale płynęły nieprzerwanie na ziemie zachodnią. Parafia Świdwin stała się wielką parafią. Coraz częściej spoglądali ludzie na ruiny wielkiej gotyckiej świątyni. Wyglądały odpychająco. Ale potrzeba kościoła stała się piekącą. Nie sposób uczęszczać na nabożeństwa do małej kapliczki tysiącom ludzi. Parafia zrozumiała, że musi stanąć do pracy nad dźwignięciem kościoła, którego mury nadawały się jeszcze do odbudowy mimo, że kościół świdwiński w historii swojej przeszedł już niejedną katastrofę. Były tam pożary, były zniszczenia wojenne i to nie małe. Ostatnie były największe, ale poprzednie też silnie uderzały w starą świątynię. Mury jednak stały mocne, można było śmiało przystąpić do prac przy odbudowie.

Przerażały parafian koszty i ogrom pracy. Świątynia przecie ogromna. Do pracy parła konieczność. I oto w r. 1946 zawiązał się Komitet Odbudowy świdwińskiego kościoła. Aczkolwiek z lękiem, przystąpiono jednak do robót. Świdwin bez kościoła być nie może. Ponadto trzeba jak najrychlej ratować mury przed dalszym zniszczeniem. Komitet ruchliwie począł się krzątać koło wielkiego dzieła. Praca jednak postępowała wolno.

Nabrała rozmachu i siły, gdy na terenie Świdwina zjawiał się nowy proboszcz. Był nim ks. Michał Polulak, repatriant z diecezji lwowskiej. Przybył do Świdwina dnia 9. IX. 1947 r. Młody ten kapłan okazał się pełnym zapału i niespożytej energii. Wielką wiedzę, która mu bardzo szybko zjednała szacunek w parafii, łączył z umiejętnością praktycznego podchodzenia do zagadnień życiowych. Nie przerażał go ogrom pracy, będącej dopiero u początku. Był zawsze wielkim optymistą. Ten optymizm udzielił się parafii. Prace ruszyły z rozmachem. Kościół był uratowany.

Ale do doprowadzenia odbudowy do końca daleka była jeszcze droga. Piętrzyły się ogromne trudności. Trzeba było wielkich sum, które musiały się znaleźć. W niejedną noc długo myślał młody, dzielny proboszcz nad problemem zdobycia pieniędzy, potrzebnych na materiały i na zapłatę robotników. W okresie odbudowy świątyni pojawiło się na jego głowie wiele siwych włosów. Doprowadził jednak prace do szczęśliwego końca. Parafianie porwani jego zapałem pomagali mu ze wszystkich sił. Wzruszające epizody opowiada ks. prob. Polulak o ich ofiarności. Każda niemal rodzina, mieszkająca na terenie parafii chciała w jakiś sposób przyczynić się do zbożnego dzieła, jedni składali ofiary pieniężne, drudzy opomagali w miarę możliwości robocizną. W odbudowie świątyni świdwińskiej dopomogło również wydatnie Państwo.

Świątynia świdwińska po kilku latach wytrwałej pracy stoi dziś dumnie, dając świadectwo chlubne o tych, którzy zastawili ją w ruinie nie patrząc obojętnie na jej spustoszenie, ale zakasali rękawy i wielkim trudem dokonali dzieła, które przetrwa wieki całe.

Warto dziś zobaczyć kościół w Świdwinie. Jest to jeden z tych rzadkich kościołów, które urzekają pięknem. Zwłaszcza piękny jest wewnątrz. Gdy wstąpiłem do jego wnętrza długo patrzyłem nie mogąc oderwać oczu. Co za wspaniałość. Jak kunsztownie i lekko biegają linie żeber gotyckiego sklepienia! Naprawdę się nie można. Czuję człowiek coś w rodzaju wdzięczności dla tych, którzy uratowali tę poezję domu bożego, wyśpiewaną z czerwonych cegieł.

Na progu świątyni jawi się ks. proboszcz Polulak. Jest uśmiechnięty, pogodny. W jego twarzy widać również tę radość, iż uratowano i dźwignięto ten przepiękny zabytek. Podchodzi, chcąc zacerpnąć nieco wiadomości o budowie. Ks. proboszcz uprzejmie udziela mi informacji.

— Ile wynoszą w przybliżeniu przynajmniej koszty odbudowy kościoła? — pytam.

— Ponad 12 milionów złotych.

— Olbrzymia suma.

— To prawda — potwierdza — ale Bóg dopomógł, ludzie byli chętni i dzieło gotowe. A z dzieła tego moi ludzie są dumni.

— Zupełnie słusznie mogą być dumni — potwierdzam. — Dokonali wielkiej rzeczy i słusznie się cieszą. Kto kierował pracami?

— Mielismy inżyniera, który parę razy przyjechał popatrzeć. Wszakże największą zasługę przy odbudowie ma bezsprzecznie budowniczy Smyk Józef. Miałem ogromne szczęście, że ten człowiek prowadził prace budowlane. Bez niego kościół świdwiński w tym roku nie byłby jeszcze gotów. Nieoce-

nlony człowiek — mówi dalej o swym budowniczym ks. Polulak — mistrz w pracy, i przytym taki cichy, zany, że poszukac takiego drugiego. Jest to człowiek na waga złota. A robotę miał niesłychanie trudną. Proszę popatrzeć, całe sklepienie to jego robota. A przecież sklepienie w naszym kościele, to istny majsterstuck. Jestem dla niego z pełnym uznaniem. Oto ten człowiek — pokazuje mi proboszcz zasłużonego budowniczego.

W istocie pan Smyk robi wrażenie jak najlepsze. Rozmawiam z nim. Człowiek pełen skromności. Pokazuje mi plany odbudowy kościoła. Zrobiłem je sam. Godne są ręki specjalisty inżyniera. Przeznaczmu p. Smykowi wyrażam pełne uznanie za dźwignięcie kościoła w Świdwinie. Jest to niewątpliwie dzieło jego ręki.

Obecnie pan Smyk z grupą pracowników kończą układanie posadzki w kościele. Płyty na posadzkę wyrabiają sami z cementu.

Po wojnie nie było w kościele niczego. Dziś są już trzy ołtarze, ambona, trochę obrazów, urządzona zakrystia. Oczywiście wszystko dzieło parafii Świdwin.

W dniach 14 i 15 października br. przeżyła parafia Świdwin podniosłe wrażenie. Po odbudowaniu zniszczonego kościoła przyjechał do Świdwina J. E. Ks. Biskup Edmund Nowicki, by wybiernować parafian. Do biernowania było ponad 2 tysiące młodzi i starszych. Odwiedziwszy Dostojnego Gościa zapisały się głęboko w duszach wierzących. Parafia miała się czym pochwalić przed swoim Arcypasterzem, który też z pełnym uznaniem patrzył na ich dzieło i w ciepłych słowach wyraził głęboką radość i wdzięczność za ten wielki wysiłek dla chwały Bożej i dla umocnienia na wieki polskości na tych ziemiach uczyniony.

Dzieło parafii Świdwin wymownie świadczy jak wiele zdziałać może zapał i rzetelny wysiłek. Ten zapał i wysiłek na długą metę postawił pokoleniom dokument trwały, że współczesne pokolenie polskie umie budować swoją teraźniejszość i potrafi zrealizować dzieła, choćby były bardzo trudne.

Grzybowski

Kościół i świat

Wielka audyencja biskupów u Ojca św. W dniu 2 listopada Ojciec św. Pius XII przyjął na audyencji specjalnej kardynałów, arcybiskupów i biskupów, którzy wzięli udział w uroczystości ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu Najśw. Maryi Panny. —

Audyencja, w której wzięło udział 25 kardynałów i 560 arcybiskupów i biskupów, odbyła się w Sali Błogosławieństw. Obecni byli również teologowie, którzy uczestniczyli w międzynarodowym kongresie mariologicznym w Rzymie.

Ojciec św. wygłosił do zebranych okolicznościowe przemówienie, w którym wyraził radość z powodu tak licznej liczby episkopatu i wiernych w uroczystości ogłoszenia dogmatu. Stanowi to, powiedział, dowód wzrastającej chwały Matki Najświętszej i uniwersalności Kościoła katolickiego. Ojciec św. podkreślił konieczność wnoszenia jeszcze gorętszych modłów do Matki Zbawiciela, przy czym modlitwy te winne być ożywione intencją umartwiania się pokutą i uświęcania.



Kościół w Świdwinie po zniszczeniach wojennych



Kościół w Świdwinie odbudowany

Nowoczesne oświetlenie Bazyliki św. Piotra. Przez cały dzień 1 listopada, w święto Wszystkich Świętych, tj. w dzień ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny, do późnej nocy olbrzymie rzesze wiernych napływały na Plac św. Piotra i do Bazyliki Watykańskiej, aby tam przed powszechnie czczonym wizerunkiem Matki Boskiej „Salus Populi Romani” złożyć hołd Królowej Niebios. Olbrzymia świątynia chrześcijańska, w której poraz pierwszy w tym dniu uruchomiono świeżo zainstalowane nowoczesne oświetlenie bezpośrednie, sprawiła widok niezapomniany. Także kolumna Bernini’ego była wspaniale iluminowana. Do późnej nocy Bazylika Piotra była przepelniona wiernymi, żarliwie modlącymi się. Ojciec św. był wielokrotnie wywołany gorącymi oklaskami wiernych do udzielania Swego Błogosławieństwa z okna swych apartamentów prywatnych. Wszystkie kościoły, ulice i domy prywatne w Rzymie były cały wieczór rześkie oświetlone. (N)

Pielgrzymka jubileuszowa Eskimosów. 32 dni trwała podróż 102 katolików Eskimosów z dalekiej Alaski do Rzymu, celem wzięcia udziału w uroczystości ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny i dokonania wizyt jubileuszowych Roku Świętego. Eskimosi wyruszyli z polarnej Alaski w dniu 28 września i przybyli do słonecznego Rzymu w dniu 1 listopada. Wszyscy oni należą do wikariatu apostołskiego Juneau. (N)

Historyczną kaplicę zwrócono katolikom. Starodawna kaplica w pobliżu Manchesteru w Anglii, gdzie w czasie prześladowań odbywały się skrycie Msze św. powróciła na własność katolików angielskich. Stało się tak dzięki wspaniałej ofierze jednego z parafian. Budowla kaplicy pochodzi z XII wieku. (N)

Powieść Biskupa. Angielska prasa donosi, że ukazała się drukiem powieść *The mango on the mango-lice*, napisana przez biskupa Dawida Matthew, który dawniej był biskupem-sufraganem arcybiskupa Westminsteru, a obecnie jest delegatem apostołskim w Afryce z tytułem arcybiskupa Apymelu. Znany krytyk literacki Compton Mackenzie ocenia ją bardzo pozytywnie, pisząc, że przypomina ona powieści Stendhala, co — według niego — „jest największą pochwałą, jaka może spotkać współczesnego pisarza”. Nie jest to pierwszy biskup, który pisał powieści. Przypomnijmy kard. Wiesemana arcybiskupa Westminsteru, autora poczytnej „Fabioli” i Jana Camus, biskupa z Belly z wieku XVII, który napisał kilkadziesiąt powieści. Przypomnieć też trzeba biskupa Ignacego Krasickiego. (P)

Oryginalny Protest. Zdarzył się w Innsbrucku (Austria) wypadek rzadki. Oto jedną z sobót przeciągnął ulicami miasta oryginalny pochód złożony z pięćdziesięciu mężczyzn w ubraniach robotniczych, z łopatami lub kilofami w rękach. Jakież było zdumienie mieszkańców, gdy stwierdzili, że wszyscy ci mazerujący robotnicy, to — księża z miasta Innsbrucku, i — co więcej — z biskupem Rusch na czele, ubranym w strój zwyczajnego robotnika. Wróćcie całe miasto wiedziało, że był to protest duchowieństwa. Mianowicie w tym roku katolicy innsbruckcy pod przewodnictwem biskupa postanowili wybudować kolonię dla bezdomnych. Pieniądze się znalazły, księża zajęli się dziełem czynnie. Wywołało to zdziwienie nawet zgorszenie pobożnych i nie pobożnych dusz. W odpowiedzi na to księża z biskupem na czele przemaszerowali

przez miasto z narzędziami pracy i całą sobotę przepracowali na budowie... „Zgorszenie” ustało. (P)

„Kościół odpowiada na wszystkie zagadnienia”. Ludowy Uniwersytet katolicki we Wiedniu wzorem lat poprzednich także i w tym roku rozpoczął cykl wykładów i dyskusji na ogólne tematy: „Kościół odpowiada na wszystkie zagadnienia”. Wykłady odbywają się w wielkiej sali ratusza miejskiego. Zainteresowani mogą stawiać różne pytania np. z dziedziny nauki, socjologii, na co wykładowcy odpowiadają w duchu nauki katolickiej. W ub. roku wykłady te miały wielkie powodzenie. (N)

Najstarsze rękopisy. Jeden z ostatnich numerów *La Scuola Cattolica* zajmuje się najnowszymi źródłami do historii biblijno-orientalnej a mianowicie słynnymi rękopisami z „pustyni Judy”, pisanymi tysiąc lat wcześniej aniżeli manuskrypty hebrajskie i aramejskie. (P)

Kronika religijna Pomorza

ŚLUPSK.

Największe i najpiękniejsze miasto w nowopowstałym województwie koszalińskim godnie uczciło Chrystusa Króla w Jego Święto. W kościele Najśw. Maryi Panny, gdzie proboszczem jest ks. dziekan Karol Chmielewski, urządzono w uroczystość Chrystusa Króla specjalne nabożeństwo popołudniowe. Nabożeństwo zgromadziło wielką ilość wiernych. Wzruszające były chwile kiedy dziatwa mała chóralnie adorowała Chrystusa Króla, zanosząc przed Jego Boży tron hołdy uwielbienia i czci, przepraszając Go za grzechy i winy i obiecując dalsze życie w łączności z Nim i Jego prawami. Dla zebranych rzesz modły chóralne niewinnej dziatwy stanowiły głębokie przeżycie we-

wewnętrzne. W oczach bardzo wielu ludzi widziało się łzy rozrzewnienia. Potwierdza się stara i znana prawda, że tam gdzie modli się dziatwa chóralnie, tam topią się przed Bogiem ludzkie serca.

Chóralne modlitwy dziatwy przeplatane były pięknie wykonanymi przez chór alumnów Małego Seminarium Duchownego pieśniami ku czci Chrystusa Króla. Dobrze wykonane pieśni chóru i rozrzucającą modlitwa dziatwy stwarzały chwile wielkiego religijnego nastroju, któremu trudno było się oprzeć.

Kazanie na powyższym nabożeństwie w Chrystusowym Królestwie miłości, pokoju i dobra wygłosił ks. mgr Józef Ferensowicz. Kazanie znanego dobrze mieszkańcom Słupska i szerokiej okolicy kaznodziei spotęgowało w duszach wierzących pragnienie jak najlepszego służenia życiu Chrystusowi Królowi.

W obydwu dalszych parafiach Słupska odbyły się również uroczystości ku czci Chrystusa Króla. (G.)

KOŁCZYGLÓWY.

Uroczystość Chrystusa Króla poprzedziło w parafii Kołczygłowej czterdziestogodzinne nabożeństwo, zgromadzając rzesze ludu wiernego na wspólne modlitwy eucharystyczne. Było to dobre przygotowanie do tak wspaniałej uroczystości jaką jest uroczystość Chrystusa Króla. Na zakończenie nabożeństwa 40-godzinnego wygłosił podniosłe kazanie dyrektor Małego Seminarium Duchownego ze Słupska, ks. Zygmunt Szelażek. Tenże kapłan odprawił uroczystą sumę w dzień święta Chrystusa Króla. 40-godzinne nabożeństwo i uroczystość ku czci Majestatu Królewskiego Chrystusa były dla parafii przeżyciem, które zostawi ślady na dłuższy okres czasu. (G.)



Parafia Białogard uczciła uroczystość ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia Matki Boskiej przez żywy obraz Różańca św. (Patrz opis w poprzednim nr. 39 na str. 820.)

Wydawca: Administracja Apostolska. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Goraów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.
Telefon 739 — P. K. O. V-854/113 Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł.
Ogłoszenia w cenie 120 zł za jeden mm wysokości w jednej szpalcie.
Tłoczono w Poznańskich Zakładach Graficznych — Oddział Kościan — 1435 — 12. 50.
K-1 13694 — 19. 12. 50. Druk ukończono 20. 12. 50.